

Syska, Henryk

Znad Orzyca rodem...

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 9, 72-96

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

HENRYK SYSKA

Znad Orzyca rodem...

Część pierwsza

W ostatniej dekadzie sierpnia 1887 roku, na tytułowej stronie „Gazety Świątecznej” ukazało się „pisanie włościanina” jak wyjaśnia wytułuszony nagłówek „w sprawie poprawy małych gospodarstw”. Zjawisko dość popularne w tygodnikach i prasie codziennej Królestwa, po zarządzeniach uwłaszczeniowych dla polskiej wsi, przyśpieszonych reformatorskimi poczynaniami centralnych władz Powstania Styczniowego. Uświadomienie narodowe obdarzonego własnością chłopą, wzmocnienie jego podupadłej godności i nikłych stanów oświecenia, to jedno z głównych zadań działalności krajowego pozytywizmu.

Stateczna i spokojna wypowiedź zajmującego nas „włościanina” zaskakuje czytelników dość ostrym tonem polemicznym. Wstępne słowa gniewnego cośkolwiek sprzeciwu dotyczą zamieszczonych nieco wcześniej rozważań kryjącego się pod przybranym nazwiskiem Gozdawy, usiłującego skłonić niedawnych jeszcze pańszczyźniaków do wydajniejszej uprawy własnego już zagonu. Z zachęceniem do szczegółowego, na miarę osobistych możliwości prowadzenia rozliczeń dochodu i wydatków., „Od czasu zapoznania się z „Gazetą Świąteczną” bardzo kontent jestem, bo dowiaduję się rzeczy ciekawych, zajmujących i pouczających. Powoli, ale giną plotki, brednie i przesady, utrzymywane między nami z dawnych czasów. Przekonywają się przecież ludzie, że lepiej wierzyć temu, co w Gazecie piszą, niżeli różnym bajom niedorzecznych kuglarzy. Zajmują mnie nowiny krajowe i z dalszych stron świata, ale nie mniej zajmują mnie i artykuły pouczające w gospodarstwie”...

– zwierza się nowy, samorzutny nabytek nie tylko doraźnego, a poszukiwanego zawsze korespondenta, roznosiciela praktycyzmu i rozsądku., „Czytam je i zastanawiam się, czy by nie można zastosować tych rad do urządzania swej gospodarki mniej więcej w podobny sposób. I przekonuję się, że z artykułów gospodarskich, pisanych

przez Mariana Prawdzica dużo można korzystać, za co wdzięczność mu się należy. Ale w radach, podawanych w gawędach Gozdawy dotąd nic stosownego nie znalazłem”...

Ten ostry, a jednocześnie wyważony z dostrzeganą korzyścią dla własnych doświadczeń, których jakoby zabrakło znanemu już nam Gozdawie. Bo:

...„Kto biedy nigdy nie cierpiał, a tylko słyszał o niej i rzut oka na nią patrzył, ten najczęściej fałszywe o niej ma wyobrażenie. Lekarz, który czytuje książki najpożyteczniejsze, w nie ma doświadczenia przy chorych, nie może być uważany za dobrego doktora”...

Podstawowy zarzut, to sięganie autora do obcych, niedostępnych nam wzorców ekonomicznego postępowania. W odmiennym klimacie, przy innym ustawodawstwie, uwarunkowaniach cen:

...„W pierwszych gawędach porównuje pan Gozdawa gospodarstwa francuskie do naszych i mówi, że dziesięciomorgowy gospodarz może dojść do majątku i znaczenia. A gdzież u nas takie grunta, by na tak małym gospodarstwie można żyć dostatnio i wygodnie, nie cierpiąc biedy?”

Dalej następuje pokaźny zestaw liczbowy, dotyczący niezbędnego wydatku na zakup narzędzi, utrzymywania dobytku i siły pociągowej, okrycia i wyżywienia rodziny, a wszystko to razem przy daleko zaniżonych cenach zboża, roślin okopowych i taszczonego na targ żywego uchówka.

...„Czytuję ciągle rady, że trzeba lepiej gospodarzyć. Lecz te rady stosują się najczęściej do gruntów dobrych, nie do takich jakie my tu mamy. Więc podaję w streszczeniu opis swojej gospodarki i proszę ludzi, bo takiego gruntu jak u mnie najwięcej”...

- kwituje swe, przyznać trzeba dość porywcze uwagi zatroskany o dobro ogólne, dojrzały obywatelsko rolnik północnego Mazowsza, ze znaczną przewagą ziemi żytnio-kartoflanej. Z przekazanego nam opisu wynika, że miało to gospodarstwo 13 morgów gruntu ornego, dopełnione morgami prawdopodobnie wielkością i żyznością wiosennymi wylewami rzecznyymi łąką.

Według załączonego planu rysunkowego podziwiać możemy obszerne siedlisko przydrożne, zapewniające wygodne pomieszczenie dla chałupy, stodoły i chlewu. To wszystko razem przylegało bezpośrednio do wzorów prowadzonego sadu oraz nie mniej dochodowego

warzywnika z dodatkiem podręcznej szkółki drzew owocowych na użytek własny i obdzielenie zapotrzebowań sąsiedzkich. Cały obszar tego dziedzictwa ma zarys mocno wyciągniętego od południa ku północy prostokąta, z przylegającą do niego polną drogą dojazdową. Wykonanie wszystkich robót w polu i zagrodzie spada przede wszystkim na właściciela i jego żonę, z dodatkiem niezbędnej siły najemnej do kosi i zwózki zboża. Początkujący współpracownik „Gazety” podaje szczegółowe dane o zyskach i wydatkach, z czego możemy się dowiedzieć o rzeczywistości niskiej dochodowości tego, średniego wymiaru gospodarstwa rodzinnego, prowadzonego dość tradycyjnie, bez stosowania najnowszych osiągnięć naukowych.

..., „Łąk nie poprawiam niczym i nie widziałem, ani słyszałem, żeby ktokolwiek w naszej okolicy to robił. Czyby nie pomogło im choć samo zabronowanie, bo nawozu i na pola orne mam za mało”...

– zapytuje i rozważa bezradnie rzutki korespondent oświecicielskiego czasopisma dla wsi. Czegoś jednak oczekuje, pragnie wyjść na spotkanie nowych możliwości, oddanych jednak niepokojąco zacofaniem ekonomicznym Królestwa, wspieranym nieporadnością własnego działania.

..., „Jeszcze raz proszę, aby panowie uczeni rolnicy doradzili mi w „Gazecie Świątecznej” znając moje położenie, jak lepiej gospodarzyć. My włościanie przemawiać do ludzi nie umiemy, ale mówiących i piszących jasno rozumiemy i jeżeliby tylko rada okazała się słuszna i możliwa do usłuchania, chętnie będziemy się jej chwycić”...

– zachęca i zapewnia pionier postępu znad Orzyca, skłonny do serdecznych, typowych, dla chłopskiego marzyciela zwierzeń: ..., „Jestem samouk, to też choć i przyjdzie myśl dobra, trudno się zdobyć na rozumne i sensowne pisanie. Lecz pan Pisarz Gazety po rozczytaniu się uzna co złe, a co dobre. Nie chce nikogo obrazić tylko pragnę pożytku, a zarazem chcę pocieszyć niektórych rolników, mających słabsze grunta, że opisując własną gospodarkę, usprawiedliwiam ich po części przed zarzutem pana Gozdawy”...

Tak też pojął prosto w swej złożoności sprawę, zatroskany o właściwe ukierunkowanie wsi redaktor Kazimierz Promyk, zachęcając obydwie zainteresowane strony do wzajemnego naświetlania kłopotliwych nastrojów, tłumionej przez rosyjskiego zaborcę rozwojowej myśli ekonomicznej Królestwa. ..., „Najlepiej, żeby sami gospodarze

wypowiadali swe myśli z własnego doświadczenia i zastosowania wysnute, jakie są ich potrzeby i jakie przeszkody w poprawianiu gospodarstw. Ułatwi się tym praca uczonym, a dobrym ludziom, którzy pragną dzielić się swymi wiadomościami z ogółem i przyłożyć się, o ile siły pozwolą do polepszenia doli wszystkich...

– rozważa spokojnie wydawca i główna postać „Gazety Świątecznej” zwracająca się z nie mniej serdecznym, a pełnym życzliwości wezwaniem do jednostek wyższych możliwości umysłowych:

...„Upraszamy pana Gozdawę, pana Mariana Prawdźca i wszystkich uczonych, a doświadczonych rolników, do których to pisanie dojdzie, ażeby dokładnie rozważali podany tu opis gospodarstwa i udzielili swoich świątłych rad, a wyjaśnień. Mogą to uczynić albo wszyscy razem albo każdy z osobna, a my to, co oni obmyślą i napiszą, podamy w Gazecie do wiadomości wszystkim czytelnikom-gospodarzom. Może ktoś pomyśli sobie, że idzie tu tylko o jedno, małe gospodarstwo. Ale to nieprawda: podobnych gospodarstw jest w kraju naszym bardzo, bardzo wiele, wszyscy więc ich właściciele, którzy Gazetę czytują, będą mogli skorzystać z dobrych rad i wskazówek”...

Zgodnie z przewidywaniem, już po trzech tygodniach zabrał głos poruszony cośkolwiek Gozdawa. Postępując śladem Pisarza Gazety Świątecznej wyraził swe zadowolenie z publicznej wymiany poglądów zwłaszcza, że zapoczątkował je zatroskany o gospodarkę wiejską oryginalny głos właściciele chłopskiej zagrody rodzinnej. Wyraził jednak sprzeciw na okoliczność posądzania go o wyłączone zauroczenie uczonymi mądrościami kosztem sprawdzalności użytkowania ich w praktyce. Nie znany mu osobiście rolnik mazowiecki:

...„Uważa go za książkowego lekarza, dającego recepty nie z tego, co go życie nauczyło, lecz ze słyszenia i powierzchownego rzutu oka. A tymczasem Gozdawa dłuższy czas uczył się i przypatrywał, jak ludzie gospodarują w innych krajach, a potem przez lat piętnaście gospodarował sam, podobno nie bardzo źle i nie tylko dla siebie, bo zawsze zajmował się gospodarką włościan-sąsiadów, którzy równie szczerze i z pewnym pożytkiem rad jego słuchali: więc zna gospodarowanie włościan kraju naszego i może o nim mówić....

Rozmija się zatem z prawdą jednostronne rozumowanie: ...„Że ów Gozdawa to taka tępa głowa, że nie skorzystał z tyloletniej nauki

i daje rady takie, że trzeba je dla dobra rolników obalić i za szkodliwe uznać. I oto przeciwnik mój występuje z artykułem, w którym chce donieść, że w radach moich nic stosownego dla siebie nie znalazł. Aż mnie mrowie przeszło, gdym te jego słowa przeczytał”...

Ale, jak poucza nas mądrość narodowa, obrażają się tylko kucharci. Rozsądni ludzie po spornych wyjaśnieniach i niezbędnych często utarczkach przystępują do twórczego rozważania. Częściowo przynajmniej, słusznym, zdaniem Gozdawy, niespełnione oczekiwania polemisty wynikają z tego:

....„Żem ja akurat nie opisał takiego gospodarstwa, jak jego własne. Ano, cóż robić? Ja opisywałem średnie, przeciętne gospodarstwo włościańskie w kraju myśląc, że uważny czytelnik podany rachunek zastosuje o tyle, o ile zgodny jest z jego zamożnością i stanem gospodarstwa. W czym zaś rachunek się nie zgadza, to zawsze będzie mu łatwiej, mając jakiś wzór sobie na jego podobiznę obliczenie i we właściwe miejsce postawić liczby takie, jakie z jego gospodarstwa wynikają”...

Rzeczy krajowe znać trzeba koniecznie, bez unikania jednak przykładów obcych, jeśli mogą one pomnożyć nasze dobro wewnętrzne, wesprzeć otwarty na wszystkie nowości i udogodnienia rozwój myśli własnej. Polegać bowiem, tylko i wyłącznie na niej, spowodować może niebezpieczeństwo zastoju, co jest wyrazem cofania się, grzęznięcie w bagnach oczywistej niewydolności. Bo przecież:

....„Nie sam grunt, lecz bardziej głowa gospodarza co go uprawia stanowi o dochodzie z roli. Wszak pod Paryżem we Francji grunta kredowe zamieniono w najpiękniejsze i urodzajne ogrody warzywne. Wszak Niemcy Pruscy wydmy piaszczyste lubinami lub zadrzewieniem doprowadzili do tego, że im większy dają dochód, niż nasze gospodarstwa włościańskie, mające z natury dobre grunta. A niechby wreszcie przypatrzone się, co pod Warszawą z piaskami sapowatymi zrobiono i jakie to tu włościanie z każdego zagonu dochody ciągną. Wprawdzie nie wszędzie prowadzenie takiego gospodarstwa się opłaci, ale ja stawiam te przykłady na dowód, że nie tyle rolnik zależy od gruntu, ile grunt od rolnika”...

Po tych prostych uzasadnieniach następują treściwe uwagi, podtrzymujące niedawne jeszcze wskazania gospodarcze Gozdawy, a przedstawione za pośrednictwem Gazety Świątecznej. Autor, przy

drobnych tylko sprostowaniach uznał, że spełniły one swą powinność, choćby tylko w świetle poruszeństwa dokonanego przez uważnego i władającego piórem czytelnika znad Orzyca:

..., „Cieszę się zaś bardzo, że taki praktyczny gospodarz wziął do głowy moje rachunki i uwagi swoje przysłał: bo choć dość z gospodarzką obeznany jestem, nieraz skorzystać będę mógł z rad ludzi, którzy myślą zastanawiają się nad wszystkim i wiedzą, że takie wzajemne porozumiewanie się wielki pożytek przyniesie”...

Dwa podstawowe wnioski zawarte są w tych bardzo żywotnych wynurzeniach: pochwała dla otwartości mazowieckiego korespondenta i zachęta do możliwie jak najliczniejszych, w podobnym stylu utrzymanych wypowiedzi. Minęło kilka dalszych tygodni i – nowa niespodzianka. Wytrwały w poczynaniach Gozdawa obszernym artykułem „Jak gospodarować” sięga odważnie do skutecznych rad, uwzględniających 14-morgową, osadzoną w określonej rzeczywistości posiadłość rolną. W przewidywaniu – rzecz zrozumiała – różnych – niedokładności, spowodowanych trudnym do pokonania odaleniem:

..., „Wiadomo, że trudno lekarzowi leczyć chorego, jeśli go nie widzi: a choć są tacy okpisie, co utrzymują, że byleby im tylko przysłać włosy chorego, to oni zaraz odpowiedzą, jak go leczyć, my do takich nie należymy. Aby komuś radzić, musimy o wszystkim dobrze być wpiery powiadomieni. A i tak jeszcze trudno zapewnić, że udzielone rady we wszystkim będą dokładne, bo na to trzeba by jechać na grunt i wszystko dobrze samemu obejrzeć. Ale zawsze mając lepsze objaśnienia, łatwiej wyrozumieć w czym jest złe”...

Szczegółowe podchody do wysiewu zbóż i najkorzystniejszego ich płodozmianu, sadzeniu i pielęgnacji roślin okopowych, utrzymywanie kurników, stajni, obory, chlewni i ciągnięcie z tego wszystkiego zysku według ówczesnych możliwości ekonomicznych zostawiamy w spokoju. I jeszcze jedna niespodzianka: poruszony zapotrzebowaniem innych współpracownik Gazety Marian Prawdzic w trzech sążnistych odcinkach „O uprawie gruntów piaszczystych” wypełnił tę, pomijaną dotąd, a oczekującą rozjaśnienia problematykę.

Mimowolnym sprawcą tego, korzystnego społecznie zamieszania był „Jakub Grabowski włościanin w Przytułach pod Krasnosielcem, stały czytelnik i przedpłatnik Gazety Świątecznej”. Takim, tasiem-

cowym podpisem opatrzył omawiany poprzednio artykuł „W sprawie poprawy małych gospodarstw”, co roznosił po kraju nazwisko autora i zarazem spokojną jego wioskę, położoną uroczo nad Orzycem, opodal sędziwego Krasnosielca, niedawnego jeszcze powiatu makowskiego. Jak przy wielu tego rodzaju zdarzeniach, nie rozwiązana dotychczas tajemnicą jest praźródło nazwy tej, zasiedziałej stuleciami wioski północnego Mazowsza. Być może, choć niekoniecznie, jest ona pochodną od swego, niewątpliwie przytulnego położenia u brzegów rzeki, z dawien dawna ożywionej gonitwą i rzeniem spędzanych tu do wodopoju rumaków. Bo ors po staropolsku znaczył tyle co koń, a dzisiejszy Orzyc jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego stulecia był pod hasłem Orsicy.

Rozstającemu się, a doświadczonemu zespołowi czasopisma, przedstawił się nowy korespondent jako pilny śledzieli drukowanego, a opłacanego rzetelnie polskiego słowa, do czego od wielu już lat zachęcał oświeciciel strzech naszych, redaktor i wydawca Kazimierz Promyk. Mieszkał Grabowski wśród zaścianków, gdzie fortuny poszczególnych zagonowców głębsze bywały niż szersze. Mimo tego ubóstwa wysoko nosili się szumni ongiś herbowcy północnego Mazowsza, zapominając niestety o konieczności wdrażania się do odnowionych warunków, jakie narzucał wiek pary, elektryczności i wielkich przemian społecznych.

...„Niegdyś szlachectwo dawało się ludziom za czyny szlachetne i obowiązywało szlachcica do postępowania zacnego, więc prawy szlachcic więcej cenił swoje dobre imię niż życie. Teraz zaś, taki szlachcic zaściankowy, zatraciwszy w sobie dawną uczciwość i cnoty, którymi niegdyś odznaczała się i drobna szlachta Bóg wie czego dmie się i uważa siebie za coś daleko lepszego od włościanina. Trzeba znać życie zaściankowe by zrozumieć, w jakiej ciemnocie tam ludzie rosną i żyją. Włościanin nasz posiadając samorząd i radząc wciąż nad sprawami gminnymi rozwija się ciągle. Zaściankowiec zaś zamyka się w ciasnym otoczeniu swego zakątka, a oddalony od miasta, często od kościoła, czasami nawet od wiosek okolicznych, więc i od stosunków z ludźmi, zdziczał zupełnie”... – pisał pod koniec 1889 roku w Gazecie Świątecznej Aleksander Jelski. Łagodząc nieco ten bardzo drapieżny sąd Kazimierz Promyk wyjaśniał:

...„Na pociechę możemy powiedzieć, że nie wszędzie tak źle ze szlachtą cząstkową się dzieje. Są okolice, gdzie szlachta, choć bardzo niezamożna, bo ma tylko po kilka, lub kilkanaście morgów ziemi, jednak żyje uczciwie, dba o oświatę i umie rozróżniać co dobre, a co złe, co się godzi, a co nie”...

Tytuł „Włościanina”, jaki samorzutnie narzucił sobie Jakub Grabowski miał istotne uzasadnienie. Wyrażał przekorę działacza wobec zagrzęzłego w beznadziejności środowiska, zapatrzonego w przeszłość której nie znało, a jeśli, to mgławicowych tylko, mocno zafałszowanych opowieści. Przysłowiowy kontusz mocno już zawadzał w podejmowanych próbach reformatorskich, oczekiwał zatem wymiany na wybijającą się ku przodowi siermięgę, czy jak kto woli – chłopską sukmanę.

Przytuła, to średniego wymiaru wioska, której chłopskie zagrody przylegają swą północną stroną do łagodnie skręcającej ku zachodowi rzeki. Według skąpych wiadomości „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego i innych ziem słowiańskich” 1827 r. liczyła ona 16 domów ze 102 mieszkańcami, chadzającymi „na pańskie” do pobliskich Bagienic, folwarku wchodzącego w skład włości niejakiego Stronsberga, znanego nie tylko w kraju kapitalisty. Kiedy i w jakich okolicznościach cały ten klucz dworski, do którego składu zaliczono też Niesułów, Karolin i Kudaje, nie wyłączając najważniejszego pośród nich Krasnosielca odpadł od Krasnego, rozległych włości mazowieckich hrabiego Krasieńskiego – nie możemy odpowiedzieć.

Wiemy natomiast, że przedsiębiorczy właściciel korzystając z możliwości ekonomicznych Królestwa założył tu hutę szklaną, uruchomił młyn wodny, tartak, folusz, cegielnię, piec do wypalania pochodzącego z miejscowych zasobów kamienia wapiennego, wykorzystał dla potrzeb opałowych bogate pokłady torfu, podporządkował wytopom rudę bagienną. Od 1876 r. całe to bractwo nabył finansista niemiecki Rau, który szybkim i zawrotnym sposobem osiągnął majątek, wykorzystując dramatyczne położenie polskich właścicieli ziemskich guberni płockiej, niszczonej przez władze rosyjskie za udział w Powstaniu Styczniowym, lub pośrednie jego wspieranie. Dzięki takim układom nadmiar chłopskiej ludności mógł na miejscu i bez większych kłopotów znaleźć stały, lub sezonowy zarobek.

Rozległa gmina Krasnosielc składała się z 19 wiosek, spośród których tylko trzy obnosiły się swoją szlacheckością. Były to: Pienica Wielka, Rusieck i Grabowo – Tryłogi. Cała natomiast większość to wioski zwane potocznie włościańskimi. Zaliczały się do nich wspomniane już Bagienice, Amelin, Biernaty, Pienice, Chłopska Łąka, Drażdzewo, Drażdżewska Górka, Elźbiecin, Grądy, Karolinowo, Łazy, Niesiółowo, Pieczyska, Raki, Sielc, Sucha i Przytuły. W najdawniejszych zapisach mylnie występujące jako Prasztuły, co nie przeszkadzało zarządom i włodarzom wyciskaniu z poddanych prawem feudalnym narzuconej robocizny.

Jak dawno zasiedziały był to ród Grabowskich – nie sposób dać jednoznacznej odpowiedzi. Według badań znawcy przedmiotu Józefa Ostaszewskiego, zawartych w dziele „Dzieje pierwotne szczepu mazurskiego” (1935), korzeni tego rodu szukać należy w Grabowie, dawnej ziemi wareckiej. Nie jest to jednak wyrok ostateczny zważywszy, że wiosek tego nazwania sporo mamy na Mazowszu Północnym, bodajby nad Orzem i Orzycem. Herb Grabowskim przypisany – Dołęga w potrójnych występuje odmianach. Wszystkie mają zbliżoną kształtem błękitną tarczę z podkowami, barkiem ku górze zwróconymi. Nie będziemy tu zajmować się szczegółami opisu podobieństw i różnic poszczególnych detali zdobniczych tej pieczęci rodowej, która na ogół nie była bliska rozeznaniam przeciętnego zagrodowca. Mimo jednak powszechnej niewiedzy, pod urokiem „dobrze urodzonych” znalazła się przygniatająca część zwartych i rozproszonych po Mazowszu zaścianków. Mitologia żywotnych jeszcze w podświadomości rycerskich zbroic i nie zawsze zwycięskich pochodów zachwycała dwóch ponoć braci Grabowskich – Kazimierza i Marcina, nie zawojowała natomiast rozsądku Jakuba.

Urodził się w Cierpiętach koło Baranowa, na zachodnich krawędziach dawnej Puszczy Płodownickiej, gdzie wśród zwartego jeszcze starodrzewu kurpiowskich borów żył lud swoją zasiedziałą dawnością. Wieś, stanowiąca naturalną w tych okolicach mieszaninę cząstkowej szlachty i włościan, scalona wspólnotą zasiedziałej Kurpiowszczyzny, pod koniec ubiegłego stulecia liczyła sobie 28 osad rolnych, 291 mieszkańców i 41 urzędowo i potocznie zwanych dymów. Ta, znaczna przewaga chałup nad ilością zagród rodzinnych świadczy o pewnym nadmiarze rąk, znajdujących ujście przy obróbkach i ścinie drzewa.

Taniej siły najemnej do sezonowych robót polowych i młocce, kopania rudy żelaznej, wędrówek na saksy za pobliską granicę wschodnio – pruską. Obszar całej własności gromadzkiej rozkładał się na 1448 morgach, gdzie tylko połowa gruntów nadawała się pod brzoń i zasiew. Reszta – to mocno przerzedzone zagajniki, pastwiska, łąki i bagna, podmywane przepływającą tu Płodownicą. Na krawędzi przyległych i otaczających osadę borów dymiała i żywicznym zapachem roznosząca się smolarnia, także na każde zawołanie usłużna każdemu, doprowadzająca do stanu używalności broń powstańcza kuźnia.

Wybuchła ruchawka styczniowa, gdy kończył Jakub siódmy rok życia. Urodzony w 1818 roku ojciec jego Tomasz, obdarzony zaufaniem Rządu Narodowego sołtys wioskowy obwołany został poborcą tajnych danin i obowiązkowych podatków. Znana z pobudek ojczyźnianych okolica wiele miesięcy zdana była na łaskawość losu. Nocą podchodziły tu wymęczone oddziały polskie, by po nabraniu sił i zaopatrzeniu zniknąć bezpiecznie w borowych gąszczach. Z nastaniem dnia postrachem i udręką mieszkańców były zachłanne, bezwzględne wobec ocalałego jeszcze mienia zbrojne sotnie rosyjskie. Po kilku wzajemnych ucieczkach i pogoniach doszło tu wreszcie do znaczniejszej potyczki. Na skrwawionym polu zostało pięciu zabitych powstańców, wśród nich zakłóty bagnetami ksiądz. Wyczuwając nadchodzące niebezpieczeństwo, troskliwa o spokój chłopca matka, uprzedzając bitwę schroniła się z Jakubem u krewnych w odległej o kilka wiorst Bakule. Mszcząc się za sprzyjanie polskiej sprawie, władze rosyjskie zatrzymały pod kluczem jego ojca. W podzięcie za szczęśliwy powrót odbył on piesze pielgrzymki. Jedną do Częstochowy, następną do warmińskiego, za pruską granicą Gietrzwałdu.

W wydanej tu przed pierwszą wojną światową książce „Bitwy i potyczki 1863 roku” Stanisław Zieliński sprowadził tę walkę do jednej z ważniejszych wydarzeń tego czasu na pograniczach Puszczy Zielonej. Kolumna powstańcza pod dowództwem wojennego naczelnika powiatu przasnyskiego Dobrosielskiego ogromadziła 163 strzelców, 150 kosynierów i 40 jeźdźców. Pomyłkowa, pośpiesznie przeprowadzona zasadzka na gościńcu do Drażdżewa, skąd oczekiwano nieprzyjaciela, spowodowała szybkie zajęcie Cierpięt przez Moskali, co nastąpiło 17 sierpnia. Brawurowy wypad kawalerii uratował przed rozsypką cały zastęp powstańczy, który wycofał się z zagrożenia, by

już w Brodowych Łąkach nabrać mocy do dalszych zadań bojowych. Potwierdza też autor rzetelnej kroniki wydarzeń liczbę poległych, nie dostrzegając jednak wśród nich osoby duchownej. Obecność kapłana w tak rozbudowanym oddziale jest raczej pewna. Zaufać trzeba pamięci naocznych świadków tego, niewątpliwie ważnego dla okolic starcia.

Na kilka lat przed 1860 rokiem misjonarze z różnych klasztorów urządzili na Kurpiach tzw. potocznie „wyrzeczysko”. Główne pod tym wezwaniem i wyjątkowo tłumne uroczystości odbyły się w Kadzidle. Głośno, przy biciu dzwonów i ogólnym wzruszeniu wyrzekano się wszelkich, szkodliwych dla zdrowia i moralności trunków, wśród których górowała pospolita w karczmach, krzepka, tania i szybko zwalająca z nóg okowita. Różnie mówiono o skuteczności tego zabiegu, który nie wszędzie i nie u każdego doczekał się poszanowania.

W Cierpiętach pewien mieszkaniec do końca dni swoich mimo wyrzeczyska nie gardził kielichem, rozniosło się niebawem, że został opętany przez diabła. Miotał się od ściany do ściany, bluzgał językiem, wreszcie dał się namówić do spowiedzi. Przyjął błogosławieństwa, komunię, wrócił do domu i Bogu ducha oddał. Żył też we wsi kobieta, rzucająca na ludzi i na dobytek różne, chorobowe „uroki”. Skończyło się wyrzuceniem obwinionej za wioskowe rogatki. Odpowiednik gromadzkiego sądu nad Jagną w „Chłopach” Władysława Reymonta.

Wiązanka przeciwstawnych sobie ciekawostek ogromadziła się wokół Jakubowego dziadka po mieczu. Jedna z nich mówiła, że pochodził gdzieś z odległego Podlasia, skąd uszedł w porę przed oczekującym go wyrokiem za pospolite przestępstwo. Szybko zasiadł się wśród Puszczaków Mazowsza, a dzięki nabytym wiadomościom fachowym został mianowany nadleśnym królewskiej z siedzibą w Olszewce koło Chorzel. Inni znów zapewniali, że po przodkach swoich oddziedziczył dobrze zagospodarowany bór, gdzie przebywał zapewniając pszczołom dobre zimowiska, nienaganne warunki do zbierania nektaru i wytwarzaniu miodu. Był więc bartnikiem co zapewniało mu dostatni żywot i środowiskowy szacunek. Ciągnął ku godnemu towarzystwu, któremu nie skąpił rad, pomocy sąsiedzkiej, z pełnym wykorzystaniem swej wypróbowanej i obniesionej po okolicy melodyjności i obrzędowości.

Nie przechowały się jakiegokolwiek wiadomości, co spowodowało jego wyprowadzkę z Cierpięt do nowej zagrody w Przytułach. Czy własność tamtejszą sprzedał, czy też przekazał któremuś z dojrzałszych wiekiem i doświadczeniem synów? Może dokonał korzystniejszej zamiany? Kiedy to nastąpiło i w jakich okolicznościach? Pod naporem przymusu, czy na pełnych zasadach przemyslenia i dobrowolności? Z całą natomiast pewnością wiemy, że w pobliżu 1880 r. cały dorobek przekazał Jakubowi, wyznaczając notarialnie potwierdzone dożywocie, o rocznej wartości około 20 rubli. Z prawem oczywiście zasiadania do wspólnego stołu, codziennej opieki, dostarczania ubioru i obuwia. Tak podliczył to zobowiązanie Jakub Grabowski w przedstawionym już, a nadesłanym do Gazety Świątecznej opisie gospodarstwa. Dzieciństwo i młodość jego w niczym nie różniła się od wzorców narzuconych ówczesnej, polskiej wsi. Wbijała się w pamięć przede wszystkim uciążliwa i opóźniająca rozwój „krówska akademia”, czyli obowiązkowe chadzanie za bydłem. Po powrocie zaś oczekiwały drobne usługi domowe, posyłki do sąsiadów, obieranie kartofli, rąbanie drewna opałowego, ubijanie masła, obróbka kaszy w domowej „sztempie”. Miał jednak odrobinę szczęścia, które zawdzięczał światłości swego ojca. Obdarzony urzędową pieczęcią i zaufaniem jakie daje wieloletnie sołtysowanie nabył on nieco surowszego spojrzenia na otaczający go świat, a jako częstszy niż ktokolwiek bywalec gminnego Baranowa i powiatowego Przasnysza krążył wokół ludzi wyższego lotu i w znaczniejszej powagi umysłowej. „Wychowałem się od małości przy książkach i gazetach” – zezna po latach pan Jakub, a dobrodziejstwo takie nie spadło przecież z wiosenną odnową i śpiewem skowronków. Gdy osiągnął pełnoletność, poszedł śladami ojca, przyłączając się do jasnogórskiej i gietrzwałdzkiej pielgrzymki. Wyjątkowo korzystnie oddziaływały one na możliwość poznania spotkanych po drodze miast, miasteczek i osiedli Królestwa. Wpływało korzystnie na możliwości poznawcze przyszłego działacza ruchu politycznego nad Orzycem.

Wcześniej nauczony czytać chwycił każdy ułomek drukowanego słowa, jakie wpadło pod ojcowską strzechę i do innych obejść wioskowych. Pierwszym tygodnikiem, jakim otwierał mu oczy, była „Zorza”, czasopismo wspierane życzliwością duchowieństwa. Z Puszczy Zielonej rodem, w Przytułach okrzyknęci zostali Grabowscy Kur-

piami. W Cierpiętach jeszcze mieszkając, wciągnięty został Jakub do tajnego nauczania. Osiągnął już taką doskonałość wiedzy, że mógł udzielać jej także innej, spragnionej polskiego liternictwa dzieciarni.

Wykorzystując pośrednictwo kogoś wpływowego na miejscową władzę, przez bliżej nieokreślony czas pracował Jakub w baranowickim Urzędzie Gminnym, gdzie doskonalili swoje umiejętności wypowiadania się słowem pisanim, które zaowocować miały wkrótce na łamach prasy. Odkrył w sobie i odkryto w nim pióro wyjątkowej sprawności, przed którym nie umknął żaden temat społecznego zapotrzebowania najwyższych przede wszystkim okolic. Sobie tylko znanym sposobem wywinął się od pogardzanej wówczas służby wojskowej w obcych koszarach, pod rosyjskimi znakami.

Życie rodzinne Jakuba Grabowskiego nie przechodziło pod znakiem szczęścia i spokoju. Po dwóch kolejnych małżeństwach została w domu żaloba i cztery córki: Weronika, Anna, Zofia i Marta. A że bez czynnego udziału i zaradności kobiet nie może istnieć dobrze prowadzone gospodarstwo wiejskie, pod koniec ubiegłego stulecia nastąpiły ponowne zaślubiny, tym razem z Marianną Klikówną, która tytułem wiana wniosła wybrankowi nie tyle serce, co rozwagi około stu rubli, sumę wysoko notowaną wówczas w chłopskich zapotrzebowaniach. Wkrótce nastąpiła też wyprowadzka z Przytuł do Sielca, gdzie Jakub Grabowski nabył od starszego brata żony włókę ziemi z zabudową i wewnętrznym jej wyposażeniem.

Wybuch I wojny światowej, najogólniej biorąc, wychodził na przeciw oczekiwaniom narodu polskiego. Zapewnić ona miała, co się niebawem stało – odzyskanie własnej niepodległości państwowej, której wypatrywał też bardziej niż ktokolwiek Jakub Grabowski. Wstępem jednak do spełnionych już po kilku latach marzeń był posiew śmierci i popielisk. Ze szczególną bezwzględnością sięgał po dorobek i życie ludzkie Północnego Mazowsza, gdzie wzdłuż dawnej granicy wschodnio-pruskiej przez kilka morderczych miesięcy toczył się zażarty bój niemiecko-rosyjskich armii. Pastwą kulomiotów i płomieni padły przede wszystkim wioski gmin Baranowa i Jednorożca. Śladu nie pozostało także po Cierpiętach i bliskiej sercu Grabowskiego Bakule. Ten rozszalały kataklizm, choć nad Przytułami przeleciał wyjątkowo łagodnie, złamał go wewnętrznie, bez możliwości powrotu niedawnych jeszcze sił i moc działania społecznego. Są pewne

granice wytrzymałości, których człowiek przeskoczyć nie może. Zmarł 29 czerwca 1921 roku. Niebo nad Orzycem obniosło się żałobą.

*Pomijmy, że to pomników zew
Pociechą wielką nas wzywa:
– Bo nie ma śmierci, jest tylko siew,
Na święte przyszłości żniwa.*

Potwierdzeniem słów Bronisławy Ostrowskiej będzie cmentarny cień Jakuba Grabowskiego w Krasnosielcu. Wieczyście spoczął wśród swoich by żywym przypominać o gromadzkim powołaniu człowieka, nieustającym jego obowiązku wobec wielkiej i małej Ojczyzny, trwałych pomieszkań także naszego dobra osobistego.

II

Minęło trzy lata od druku przez „Gazetę Świąteczną”, „głosu włościanina” z Przytuł. Raz rzetelnie wykonany pociąg do pióra w licznych wypadkach zamienia się w korzystny społecznie i osobiście nawyk. Nie ominął on i Jakuba Grabowskiego. Wszędzie tam, gdzie mieszkają ludzie, liczniejsze ich skupiska powstają różne zdarzenia, którymi żyje najbliższa przynajmniej okolica, poszczególne rodziny czy wybrane spośród wielu środowiska. Na redakcyjnym stole pojawił się list, jakich wiele drukowała gazeta, tym razem także i od pana Jakuba. Donosił o parafialnych pracach porządkowych, skupionych przede wszystkim wokół mocno zaniedbanego cmentarza. Pisał o parcelacji kilku podupadłych ekonomicznie majątków. Nie znamy niestety bliższych wiadomości o nowych nabytkach, możliwości ich zasiedlin warunkach zakupu wymierzonych działek. Należy tylko przypuszczać, że ziemia stała się przede wszystkim własnością tutejszych, silnie i niepokojąco przeludnionych zaścianków, tudzież wiosek urzędowo i potocznie zwanych włościańskimi.

..., „Od tego czasu cmentarz grzebalny o połowę powiększono i murem kamiennym otoczono, plebanię wymurowano i zabudowania przy niej nowe, z drzewa wystawiono. Donosiłem zarazem, że w naszej parafii rozkupiono ostatnimi czasy sześć folwarków. Teraz jednak nowsi właściciele mocno biedują i mniej niż za pół ceny ziemi się wyzbywają, bo są tak obdłużeni, że nie starczy im na opłacenie procentów, często lichwiarskich”...

Potwierdzenie przysłowia, że biednemu zawsze wiatr w oczy. Upokarzające beznadziejnością położenie osadników wynagrodzone jednak zostało osignieciami natury ogólnej:

..., „Z funduszów miejskich, składek gminnych i dobrowolnych ofiar kupiono narzędzie ogniwe – sikawki i beczki za rubli 500. Bruk rynku kosztował rubli 600, studnia i szopa do narzędzi pożarnych rubli 730. Za naprawę mostów i wybrukowanie grobli zapłacono rubli 2700. Uchwaliła też gmina wybrukować w miasteczku trzy ulice, wiodące do kościoła. Miasto daje na to pieniądze, a gmina kamienie. Pieniędzy na ten cel w rękę wójta już jest 600 rubli, a kamienie ułożone w sążnie czekały tylko wiosny. Do kościoła sprawiono ornat i kapę za rubli 400. Wszystkiego razem było w obrocie w ciągu ostatnich trzech lat rubli 5530, nie licząc w to roboty konnej i pieszej, oraz zwózki kamieni”...

Nie rozjaśniło to doli poszczególnej biedzie, wprowadziło jednak cośkolwiek społecznej radości i korzystnego spojrzenia na zapobiegliwość miejscowej władzy, oraz czynników samorządowych. A mają one dość często twarde orzech do zgryzienia zarówno przy podejmowaniu stosownych uchwał, jak i przy ostatecznym ich wykonaniu. Każda jedność wymaga dopracowania, potrzebuje łagodzenia różnych sprzeczności wewnętrznych, a wszystko to potrzebuje czasu, cierpliwości i niezbędnego działania. koniec jednak wieńczy dzieło.

..., „Bywa co prawda dosyć rozmaitych nieporozumień i wymówek przy każdej uchwale, że to za ciężko, że to niepotrzebne itp. ale jak wreszcie zgodzą się i każdy zobaczy porządek i wygodę, to w końcu powie: rubel nie znaczy nic, a dzień roboty konnej czy pieszej także niewiele. Więc każdy zadowolony i potem do innej dobrej rzeczy łatwiej da się namówić”...

Tymczasem rozległe, krzepkie jeszcze militarnie, ubogie jednak cesarstwo rosyjskie wydało przed kilku laty ostre zarządzenia utrudniające lub uniemożliwiające tam pobyt licznych rodzin żydowskich. Zarządzenia te nie obowiązywały jednakże dyszącymi resztkami dawnej samorządności administracyjnej Królestwa. Spowodowało to masowy przyływ ludności wyznania mojżeszowego do miast i miasteczek również i północnego Mazowsza, co wywołało z kolei narodziny krajowego antysemityzmu. Temu naciskowi uległ również i Jakub Grabowski...., „Z ostatniego listu wiadomo czytelnikom Gazety, że

znalazł się w naszym miasteczku kupiec katolicki Stadnicki, który założył sklep korzenny i dobre miał poparcie od ogółu. W zeszłym roku znalazł się znowu drugi katolik Goliaszewski, który założył także sklep korzenny i cieszy się dobrym powodzeniem. Tylko panowie kupcy katoliccy powinni żyć zgodnie i dopomagać sobie wzajemnie, tymczasem nie zawsze tak się dzieje. Panowie ci osiedlili się tuż obok siebie jakby na przeszkodę jeden drugiemu w interesach. Ponieważ jednak i tak im się wiedzie, bo chętniej ludzie kupują u nich niż w sklepach żydowskich, więc można się spodziewać, że na innej, dalszej ulicy znowu założy sklep trzeci. W tymże czasie katolik założył piekarnię i także idzie mu dobrze”...

– donosił bez tonu potęgującej wówczas agrysywności. Natomiast uwagę moralizatorską złożyć trzeba raczej do przechowalni najzwyczajszego w świecie samouspokojenia:

...„Pijaństwo też u nas prawie ustalo, a że jeszcze niezupełnie, to pochodzi z biedy, która ostatnimi czasy daje się we znaki z powodu nieurodzaju. O porządek gminy i kościoła wszyscy u nas dbają. Dwie karczmy w ostatnich czasach zamknięto, a spodziewać się można, że i więcej ich upadnie”...

Miejscowy patriotyzm nakazuje Jakubowi Grabowskiemu szukać uwłaczających zjawisk u najbliższego bodajby sąsiedztwa: ...„Sąd gminny, który się mieści w Krasnosielcu służy czterem gminom: krasnosieleckiej, sypniewskiej, płoniawskiej i sieluńskiej. W tej ostatniej najwięcej jakoś pieniactwa, widać lud tam mniej oświecony, a przy tem jest dużo pokątnych doradców, ludzi nieuczciwych którzy, aby złapać złotówkę ludzi do procesów namawiają. Z gminy krasnosieleckiej, choć też nieraz wnoszą skargi, ale najczęściej potem godzą się nie czekając wyroku, co jest najlepsze”...

W dalszym ciągu uważa się Jakub Grabowski nad stanem oświaty rodzinnych okolic, mimo obiektywnych możliwości jej poprawy. Przemawia za tym względna zamożność szlachty po obydwu stronach Orzyca. Rzecz tylko w tym, by sprawę ruszyć z niepokojącego zastoju, skrzyknąć i wychować przodowników oświecenia publicznego. Dobry przykład może pociągnąć za sobą pogrążony w ciemnocie i zubożeniu ogół. Podjął Grabowski odważną próbę uruchomienia w Krasnosielcu dostępnej dla wszystkich czytelnicy, prosząc o radę „Pisarza Gazety Świątecznej Radę otrzymuje natychmiast, uwzględniającą

wszystkie, obowiązujące wówczas przepisy prawne i organizacyjne. Wszystko dla potrzeb drukowanego słowa, z trudem jeszcze przebija-
jącego się do naszych wiosek i zaścianków. Stąd płomienne wezwania
do szujących jednostek i odpowiedzialności ich za przyszłość nadorzy-
ckiego ustronia: „...„Panowie obywatele miasteczka i szlachta i wło-
ścianie! Biermy się do czytelnictwa! Czytają u nas gazetę i sprowadzają
jej kilkanaście egzemplarzy, ale tylko ci, można powiedzieć, co umieją
czytać jako tako i są biedniejsi. Ci zaś, którzy umieją dobrze czytać
i pisać, dla których zdaje się rubel to niewielkie pieniądze, jakoś
lekkomyślnie, przy swoim dobrym bycie zapominają o tym, co naj-
więcej obchodzić ich powinno. Dziwię się, jak to można obyć się
umiejąc czytać bez czytania? Po co Was rodzice Wasi uczyli i po co wy
swoje dzieci uczycie czytać i pisać, jeśli później nie chcecie z tej
umiejętności korzystać? Każdy niby dba o swoje dobro, ale ogólne
znać go nie obchodzi. Czytelnictwo daje wiadomości o wszystkich
dobrem i przyczynia się do polepszenia bytu, a człowiek czytający
staje się coraz rozumniejszy i przychodzi mu do głowy myśli, o któ-
rych się dawniej ani śniło. Ale na nieszczęście różni ludzie różnie
wymówki przeciw czytelnictwu stawiają”...

Bez jakiegokolwiek uzasadnienia. Wszystkie, najbardziej wymyślne
zarzuty łatwo można zbić bez naruszenia osobistej godności upierają-
cego się rozmówcy:

„...„Jedni mówią, że nie mają czasu na czytanie. Na nic wasza wymów-
ka. Widać macie dużo gruntu i przez to tyle zajęcia. Ale tydzień ma
siedem dni, więc arkusza druku nie przeczytać, to gnuśne lenistwo.
Dobrze, że macie czas umyć się, wycesać i pacierz zmówić: bo
dopieroż by to ładnie wyglądało, gdybyście z rozczochranym i zapie-
rzonym łbem chodzili cały tydzień. Wierzcie mi jednak, że nie czytając
i nie sprowadzając żadnego pisma, wobec ludzi mających prawdziwą
oświatę wyglądacie jak najgorsi rozkudłańcy. Jesteś gospodarzem na
włoście, albo i na paru to nieraz ci na myśl przyjdzie, że ty coś więcej
znacysz od tego, co ma tylko parę morgów. Myślisz sobie: jestem
obywatelem. Jesteś obywatelem, ale malowanym, czyli takim, jakiego
na papierze można pędzlem nachlapać. Taki będzie pokąźny, ale ani
się ruszy, ani o czym myśli, ani jest czego ciekawy. To prawdziwy
obraz twój”...

Słowa cierpkie, trącające wyrazem zniecierpliwienia, oczekującego szybkiej przemiany zestarzałych już pojęć. ...,Drudzy mówią: ciężkie czasy, pilniejszy wydatek na sól i na podatki. Prawda. Czasy ciężkie, ale o życie i przyodziewek do ostatniego każdy się troszczy, żeby nie gorzej wyglądał od innych i na to starczyć musi. Przy tem na tytoń, choć kilkanaście groszy na tydzień znajdzie każdy, nie zważając, że to pożytku żadnego nie przynosi, tylko cygański nałóg. Nie trudno więc by mu było kilka groszy na tydzień zaoszczędzić, a na to miałby już pismo ciekawe i pożyteczne”...

Zatem wybieg niedostatku odpada. ...,Inni znów powiadają: gazety dobre dla panów i dla księży, a chłop musi pracować, czytanie nam chleba nie da. Otóż zaręczam, że właśnie czytanie pożytecznych książek i gazet przysparza nam chleba, bo tam są rozmaite przestrogi, nauki, rady pożyteczne jak co robić, zachęty do pracy uczuciowej i życia cnotliwego. Czytając je stajesz się mędrszy w pracy pilniejszym, lepszym, a w chwili wolnej masz się czym zabawić. Gdy masz dobrą książkę to jest tak, kabyś miał dobrego nauczyciela i doradcę w domu. A człowiek zawsze dobrych rad, wskazówek i upomnień potrzebuje. Szkło jest czyste, rdza go się nie ima, a jednak przemywać trzeba”...

Porównanie jędrne, przejrzyste, wyrosłe z podpatrzenia chłopskiej codzienności, jak wiele zwrotów Jakuba Grabowskiego, człowieka z mazowieckich rędzin. Świadczy o tym przykład następny: ...,Trudno jednak wytłumaczyć wszystkie pożytki z czytania. Od razu mało kto zasmakuje w nim. Dopiero jak czyta sam, to się dobrze przekona. Gdy butelkę miodu zachwalasz, a kto nie uwierzy, daj tylko krople skosztować, to się od razu przekona, żeś prawdę mówił”...

Dla rodzinnych okolic nad Orzycem chciał być i pozostał wzorcem Jakub Grabowski. Gdy inne możliwości oddziaływania na lud miały utrudniony dostęp do wiosek i zaścianków, polskie słowo drukowane, choć pod czujnym nadzorem rosyjskiej cenzury, godnie wypełniało swe narodowe i społeczne posłannictwo. ...,Więc tak bracia, czym kto może, niech się do oświaty przyczyni, aby coraz szybciej wzrastała. Niech nam nic na przeszkodzie nie staje do sprowadzenia i czytania gazet i różnych, pożytecznych książek. Ciężko jednemu zebrać się na gazetę, to zmówcie się całą gromadą. Nie umiesz sam czytać, niech dzieci twoje czytają, bo przyszedł czas byśmy już dobrze przejrżeli. Są okolice, gdzie się wstydzą wioski, w której nikt nie czyta. I u nas Bóg

da, że kiedyś nadejdzie pora w której tak samo będzie, co dalej Boże doczekać się jak najprędzej... Rad bym całą duszą zmusić swych współbraci do czytelnictwa, które na wielki pożytek im i dzieciom ich wyjdzie „...Nawoływał marzycielsko stanowczo Jakub Grabowski. Dla pożytecznych celów także społeczny nacisk znaleźć może usprawiedliwienie. Obwarowany surowością prawa porządek nakazowy w licznych wypadkach zdał egzamin celująco i zyskał uznanie.

Wszystkie domysły nasze wskazują, że Tomasz i zaraz, autor „Głosu Włościanina znad rzeki Orzyca o wójtach i wyborach”, zamieszczonego na łamach „Gazety Świątecznej” w końcu kwietnia 1891 roku, to przybrane nazwisko publicystyczne Jakuba Grabowskiego. Żarliwość pisarska, stylistyczny sposób ujęcia, wsparty pewnością siebie, przemawia za autorstwem znanego już powszechnie korespondenta z Przytuł. Mylne chyba byłoby przekonanie, że w zasięgach jego działania wyrósł nagle nowy, godny uznania współzawodnik, sprawca jednej tylko, tak doskonałej wypowiedzi. Ludziom dojrzałym społecznie znad rzeki nie było obojętne, kto zostanie zarządcą gminy, do którego to urzędu nigdy nie brakowało i o wątpliwej często wartości kandydatów. Bo wójtowanie to nie tylko odpowiedzialność za gospodarkę podległego sobie administracyjnie obszaru, ale też i stanowisko zapewniające prawem określoną dochodowość, nie mówiąc już o różnych wziątkach i możliwościach zasiadania przy zastawnym stole, cudzym oczywiście kosztem. „...„Więc bracia czytelnicy, zawczasu zastanówmy się kogo trzeba wybierać. Są tacy ochotnicy do urzędu wójtowskiego, co już majątki poobdłużali za fundy krzykaczom i jeszcze bardziej im fundują. Wysiłają się na poczęstunki, przed wyborami tak, jakby im szło o zbawienie duszy. To też krzykacze tacy wrzeszczą za nimi, przeciągają na ich stronę i najczęściej ich góra bywa. A rozumniejsi na to patrzą niby z boleścią serca, ale nic nie mówią, bo brak im odwagi. Myślą sobie: jakże nas kilkunastu poradzi przeciw tej wrzawie? Drudzy patrzą z zazdrością na te krzyki, bo sami chcieliby dostać się na urząd. Inni znowu wiedzą kto wart naprawdę być wójtem, ale tak rozumieją: ten mi nic nie da, tamten nic nie weźmie, więc niech ten będzie za kim krzyczą. Bogacz tam się który dorobił na urzędzie. Prawie wszyscy bankrutują”...

Zupełna obojętność na sprawy ogólne, brak zrozumienia ich potrzeb, stąd przypadkowość ludzi na różnych stanowiskach. Niedo-

bory w kasach gminnych były częstym zjawiskiem w gospodarce państwowej Królestwa. Wójtowie odsiadawali wyrok, stratę wyrównywał jakże często podatnik. W ujawnianiu oblicza kandydatów do urzędu wykazuje Grabowski nadzwyczajny upór i rozpoznanie charakterów co świadczy, jakie znaczenie wiązał z tym, powtarzającym się wadzeniem: „...,Przedstawię wam obraz wójtów obranych za piwo i gorzałkę i skutki ich urzędowania, a naszej lekkomyślności. Tylko bądźcie cierpliwi mili czytelnicy, posłuchajcie z uwagą. Ten który funduje żeby go obrali na urząd wójta jest szachraj i umizgaj, co innego myśli, a co innego mówi, jest leniuch, pracować nie chce. Widać, że już żonę i dzieci okradł, teraz chce okraść całą gminę. Pokłada nadzieję w tym, że dużo pieniędzy będzie przechodzili przez jego ręce, a z tego mu coś się okroi. Wie, że różne podatki sołtysi oddają wójtowi, że ludzie z kasy gminnej pożyczają. Otóż zamierza sobie tym wszystkim się latać, opychać, spodziewa się, że mu szczęście posłuży okraść kogo. Zostawszy wójtem szachruje, machluje, po karczmach chodzi, chcąc przyjaźni pozyskać i pieniędzy od tego i owego pożyczyć. Naród zaś ciemny rad jest z towarzystwa takiej osoby jak pan wójt. Drudzy za bardzo dbają o swój spokój, więc mu schlebiają. No i cóż z tego? Oto wreszcie miarka się przepełni, ucho się obrywa, coś złego się wykryje i koniec z wójtem. Okradł gminę, a ilu przy tym pojedynczych ludzi ponazarywał takich właśnie, co chcą mieć święty spokój. A ilu to do pijaństwa przyuczało. A ile przy nim nieładu i złego w urzędzie gminnym się narobili, bo wójt pilnował nie kancelarii, tylko karczmy. A ileż teraz jego żona łez wyleje, nazłorzeczy tym, co byli za nim głosowali i stali się przyczyną głosowania”...

Artystycznym, wysokiej klasy słowem potwierdził te uwagi Władysław Reymont, przekazując czytelnikowi rozbitą wewnątrz na cztery pory roku powieść, zatytułowaną „Chłopi”. Jego, uwikłany różnymi przygodami wójt lipecki w najmniejszym stopniu nie odbiegał od wizerunku, przedstawionego urocą gawędą Jakuba Grabowskiego. W tych zestawach mieści się również orkanowski Suhaj, jeden z głównych postaci, zasiedziały „W roztokach”, na skalnym, przeżartym galicyjską nędzą Podhalu. Podejmowanie cichej walki i otwartych wezwań przeciwstawiających się wypaczeniom i złu wszystkich zaborów, to zadanie jednostek śmiałych, przedwcześnie często rozbudzonych wyrobieniem swoim i świadomością, wyrastających ponad sza-

rość okolicy.,Przyjeżdża pan naczelnik, żeby sprawdzić porządki i kasę. Wójt wtedy na gwałt szuka kogoś, żeby mu pożyczył. Obiecuje, że natychmiast po odjeździe naczelnika pieniądze zwróci. I tak jakoś się upiecze. Przy rewizji w kasie pieniądze są, tylko wójt dostał naganę że za dużo ich w gotówce trzyma, ale to mała rzecz. Na wieczór pieniądze wracają do tego, od kogo były wzięte. Ale po jakimś czasie przychodzi druga rewizja. Wtedy już ciężiej, bo naczelnik każe natychmiast wypłacić pieniądze, komu się według rachunków należy. Ci, którzy poratowali wójta pożyczką na jeden dzień doznają wielkiego zawodu, nie mogąc doczekać się zwrotu. Pan wójt płaci procent i prosi o cierpliwość i o sekret”...

Zwykły początek upadku na pochylni, skąd nie ma już odwrotu. Wszystko razem wieńczy sąd, bezwzględny wyrok, odsiadka, egzekucja majątkowa, przekleństwo i skargi poszkodowanych. Stronić zatem trzeba od wyścigowców do władzy, sięgających po nią za pośrednictwem karczm, ale jest i odwrotna strona przysłowiowego medalu. Wystrzegać się trzeba również jednostek z natury swej uczciwych, wolnych od skłonności do kielicha, mających jednak dostatecznego odczytania i jednostek niedojrzałych wewnętrznie do wójtowskiej powagi.,Jeszcze raz powtarzam: zastanówcie się bracia dobrze, kogo mamy obrać wójtem. Jeślibyśmy wybrali i takiego, który wydaje się dobrym człowiekiem, ale oświaty nie ma, to też pociecha z niego mała. On każdemu rad by dogodzić, a najbardziej pisarzowi gminnemu bojąc się, by go w niczym nie naraził. Dlatego miłuje go więcej niż swą żonę. Gdy pisarz taki pocciwy jak on, to wtedy jest jako tako, ale gdy pisarz nicpoń, to bywaj zdrów. Pisarz powie: „Ma tak być”, to i pan wójt powie „tak”: pisarz powie inaczej, to i pan wójt inaczej. Takich rządów wójtowskich wynika, że pisarzowi brzuch utyje, ale wójt pójdzie bez butów. Wybieramy więc takiego, żeby nie zależał od pisarza, bo pisarz powinien być zależny od wójta”...

Obrazek, jakby żywcem wyjęty ze „Szkiców węglem” Henryka Sienkiewicza. Prostuduszny, ale bezradny wobec wykolejonego społecznie pisarza Zołzikiewicza, wójt obdarzony nazwiskiem Burak. Co tam zaszło dalej radzimy przeczytać. Na początku 1895 r. jest drobna wzmianka w „Gazecie Świątecznej”, dotycząca szóstej rocznicy zgonu bliżej nam nieznaney filantropki Emilii Kornilowiczowej, która przeznaczyła pewną kwotę pieniężną na cele dobroczynne dla polskiej wsi.

Z roku na rok wysokość daru topniała, by wreszcie osiągnąć najniższy już poziom wartości 128 elementarzy obrazkowych Kazimierza Promyka. Pośród licznych a wyróżniających się rzutkością pomysłów i społecznego oddziaływania, redaktor czasopisma wybrał trzynastu rozrzuconych po całym Królestwie współpracowników do sprawiedliwego rozdziału tych, oczekiwanych na wsi wydawnictw. Wśród chwalebnie dostrzeżonych i naznaczonych pośredników znalazł się Jakub Grabowski. Obok m.in. pierwszego korespondenta chłopskiego Michała Mosiołka z Wysokiej koło Szydłowca i Macieja Zwolińskiego spod Miechowa.

Wysoka tamtego czasu, szczególnie wśród dzieci, śmiertelność była prawdziwym nieszczęściem chłopskich rodzin. Dotknęła ona niestety i Jakuba Grabowskiego. Żałoba po żalobie zadziałała przygnębiająco, nie na tyle jednak by zatracić poczucie wyszukanego opiekuństwa dla urodzonego w 1882 roku synka Emila. Doświadczenia czerpał z własnego samouctwa i wskazówek przede wszystkim „Gazety Świątecznej”, która w każdym numerze nie skąpiła porad bibliograficznych. Świadczy o tym obszerna odpowiedź redaktora, udzielona Jakubowi w początkach maja 1889 roku.„Te książki, któreście teraz zamówili, na jakiś czas dla synka Waszego wystarczą. Jedne czyta po małym kawałku i następnie niech opowiada własnymi słowami to, co przeczytał. Niektórych, łatwiejszych wierszyków może się uczyć na pamięć. Z „Opisanie świata” niech powoli wszystko sobie utwierdza w pamięci, niech sam narysuje planik domu, podwórza i mapki niech dobrze pozna. Ze wszystkich tym jednak śpieszyć się trzeba, niech się jeszcze uczy bez przyniewolenia, boć zbyt mały. Gdy te książki już przejdzie, a trochę podrośnie, tedy przydatna mu będzie książka opisana przez Dmochowskiego i inne książki, wybór których zawsze gotowi jesteśmy doradzić. Bardzo mnie cieszy, że w Waszym domu i na wsi „Obrazkowa Nauka” tak się przydała”...

Złożona z dwóch, wspomagających się wzajemnie części służyła ona dostatecznie tym początkującym i tym, co chwycili już kąsek wstępnej wiedzy alfabetycznej. List z Przytuł jest jednym z licznych potwierdzeń oświatowego rozruchu, spowodowanego działaniem krajowego pozytywizmu i dalszych jego następstw. Wiśń, nie tylko ta nad Orzycem, podnosiła się z kłęczek.

Radości ludzkiej towarzyszą niepewności i zbitka różnych znaków zapytania. Potwierdzeniem tych przemian losów człowieka są wstrząsające „Zale ojca po utracie dziecka” podane przez Gazetę Świąteczną w połowie kwietnia 1895 r. Poprzedza je obszerniejsze wyjaśnienie redakcyjne treści następujące:

...„Jeden w włościan, czytelników naszych, którego nazwisko na końcu wyczytane dotknięty wielkim smutkiem, w przeciągu dwóch miesięcy stracił dwoje dzieci. Jak niegdyś przed wiekami dawny nasz pieśniarz Jan Kochanowski opłakiwał swą ukochaną, a zmarłą córkę Urszulę pisząc o niej wiersze, tak i ten czytelnik nasz, choć nigdy przed tem wierszy nie układał, teraz z żalu po śmierci ostatniego, ukochanego syna napisał te oto słowa do Gazety”...

Jaka była pogoda zimowego ranka 14 lutego? Jeśli „Święty Walenty połamał pręty” – znaczyłoby to początek oczekiwanego przedwiośnia. Jeśli zaś „nastawił pręty”, nastąpił powrót mrozów i zadymki śnieżnej. Wahania przyływu i odwrotów zimy nie miały jednak wpływu na żalobny nastrój Jakuba Grabowskiego. Wyraził go 23 elegijnymi zwrotkami, wyniku swych możliwości twórczych, czym upodobnił się do rodzicielskiego bólu mistrza z Czarnolasu.

*Ciemność zupełna dziś mnie ogarnęła,
inny zupełnie obrót ziemia wzięła,
kiedy powołał Pan Bóg syna mego
ukochanego.*

– uzał się przygnieciony ciężarem dopustu sił nadprzyrodzonych odrodziciel doliny Orzyca. Wykazał się też nadzwyczajną umiejętnością swobodnego posługiwania się sztuką rymotwórczą. W tych uporządkowanych wzorowo układach stroficznych znajdziemy bez trudu sporą wiązanekę dramatyizmu wątków osobistych i rodzinnych.

*Został bez matki w trzecim życia roku,
nie odstępował od mojego boku,
jam go też pieścił, uczył, pielęgnował
jako skarb chował.*

Radował serce swoją zdolnością w doświadczeniach przekazywania wiedzy, garnięciem się do książki i drukowanego słowa w ogóle, co używali bardziej rozgarnięci sąsiedzi:

*Już w szóstym roku najdroższa dziecina
czytać i pisać tak dobrze zaczyna,
że jest podziwem sąsiedztwa całego,
ludu wiejskiego.*

Choroba dziecka wywołuje zawsze odruch współczucia i doznania własnej niemocy:

*Kaplan Orłowski, nauczyciel dzieci
gdy ta wiadomość do niego doleci,
uczuje smutek w swym sercu i duszy
boleść go wzruszy.*

*Bo jak mi mówił, gdy od nas odchodził:
– Jużem ja dużo po tym świecie chodził,
a nie widziałem dziecka tak zdolnego
ani jednego”.*

*Radził mi, bym go oddał do Siennicy.
„Ja wam powiada, on skarb oddziedziczy
bo bardzo zdolne, utalentowane,
dziecko kochane.*

Siennica to pokaźna w dawnym powiecie mińsko-mazowieckim osada, gdzie wkrótce po Powstaniu Styczniowym, w dawnych pomieszczeniach klasztornych, władze rosyjskie uruchomiły seminarium nauczycielskie dla szkolnictwa ludowego. Wychowankowie seminarium mieli być przede wszystkim narzędziem wynaradawniania polskiej wsi, sposobienia jej do wiernopoddaństwa wobec cesarza i cesarskiego imperium. W przeważającej większości, na zasadzie zwykłej przekory stawali się apostołami chłopskich uczuć patriotycznych. Pochwały kołędującego duszpasterza przyjmował Jakub Grabowski radośnie, dostrzegając jednak zasadniczą przeszkodę w chorobliwym stanie dziecka i niedostatku materialnego:

*Jam się wymawiał, że jest za ubogi,
a przy tem i ten mój synaczek drogi
nie całkiem zdrowy, jakby miał suchoty...
brakło ochoty!*

*W domu się uczył i bydelko pasał,
lecz nigdy z dziećmi jak inni nie hasał,
zawsze miał książkę, a co w niej wyczytał,
pamięcią chwycił.*

*Gazeta była jego ulubieniem,
jej oczekiwał z wielkim upragnieniem,
wital z radością, lecz czytał z powagą,
z wielką uwagą.*

*Więc znalazł z niej prawie każdy kącik kraju,
wiedział o jego bycie, obyczaju,
dobre podziwiał, a złe smucilo
serce raniło.*

Pochwała, udzielona „Gazecie Świątecznej” była jak najbardziej uzasadniona, Tygodnik ten od początku swego istnienia na ośmiu stronach niewielkiego formatu zręcznie podawał czytelnikowi wszystko, co mogło go zaciekawić bez względu na wiek i stopień przygotowania. Dzielenie zaś czasu między pasionką a sięganiem do książki było typowym udziałem wszystkich, wybijających się po latach działaczy ruchu ludowego.

*Emilku drogi, poszedłeś do matki
i do twych braci. O, najmilsze dzieci!
choć się módlcie do tronu bożego
za ojca swego!*

*Emilku drogi, jużes ty jest trzeci.
Piotr, Stefan i ty, moje drogie dzieci!
gdyby choć jeden został pod mą strzechą,
był mi pociechą!*

Wstrząsające to zawołanie stojące na rozdrożu samotności i sieroctwa człowieka, pozbawionego rodzinnej i rodzicielskiej laskawości. Cóż zatem pozostaje skolatanemu życiu pielgrzymowi, zdążającemu w dalsze, nadal nieznanne mu ścieżki żywota:

*Bracia kochani, czytelnicy mili,
życzę wam zdrowia, szczęścia w każdej chwili,
niech Bóg oddala od was takie troski
Jakub Grabowski.*

Tylko uśmiechnięte twarze najbliższego i oddalającego otoczenia mogą przynieść ulgę w osobistych dolegliwościach. Znał dobrze tę prawdę bohater naszej opowieści i stała się ona doskonałym z roku na rok niewymiernym jego przeznaczeniem.